SPOTKANIA

Karolina Gruszka: Aktorka, podróżniczka, poszukiwaczka

REMIGIUSZ GRZELA

14 CZERWCA 2017

fot. Marta Wojtal

Karolina Gruszka – zjawisko. Aktorka, podróżniczka i poszukiwaczka. Teatr rozumie jako rozwój duchowy. Wielokrotnie zaskakiwała odwagą wyborów.

Jest tuż przed premierą „Słonecznej linii" w Teatrze Polonia, sztuki męża, rosyjskiego dramaturga i reżysera Iwana Wyrypajewa. A potem wyczekiwana od dawna filmowa kreacja „Marie Curie". I nie będzie to „kobieta z banknotu".

To kolejny spektakl Wani, w którym grasz. Dzieje się?

Sztuka ma podtytuł „Komedia, która pokazuje, jak osiągnąć pozytywny rezultat". A na scenie makabryczna kłótnia małżeńska, omal przez cały spektakl.

A, Wania zapisał Waszą kłótnię?

Nie! Nie jest spisywana z nas. Chociaż gram z Borysem Szycem, nie z Wanią, spodziewaliśmy się posądzeń, że opowiadamy o sobie. W rzeczywistości jesteśmy parą, która właściwie się nie kłóci. Nasze są detale: kolor walizki, bo rzeczywiście mamy żółtą, albo to, że nie odbieram telefonów, bo ciągle mam rozładowany telefon. Nie mamy temperamentu tych ludzi.

Dziesięć lat temu na festiwalu w Kijowie obejrzałaś „Euforię" Iwana Wyrypajewa i postanowiłaś nie tylko pogratulować filmu, ale zaprowadzić reżysera na swój pokaz. Co było w jego filmie, że się odważyłaś?

Miałam poczucie podobnej wrażliwości, czegoś bliskiego, co poruszyło we mnie najgłębszą strunę. Pomyślałam, że jak Wyrypajew zobaczy „Kochanków z Marony”, to może też coś takiego poczuje. Oglądałam „Euforię” wspólnie z Izabellą Cywińską. Czuję dług wdzięczności wobec niej, bo gdyby nie ona, prawdopodobnie nie zdecydowałabym się wtedy podejść do nieznajomego reżysera i zaprosić go na swój film. Później wszystko samo się potoczyło.

Wania opowiada, że wzięłaś go za rękę i zaprowadziłaś na salę.

Myśmy go zaprosiły, a on powiedział, że nie ma czasu. Mówiłyśmy, że gdyby jednak go znalazł, to film się za chwilę zaczyna w sali numer trzy. Okazało się, że zmieniono salę projekcji. Pomyślałam, że pójdę i powiem mu o zmianie na wypadek, gdyby jednak chciał przyjść. Odpowiedział: „Dobrze, to chodźmy”. I wtedy wzięłam go za rękę i zaprowadziłam. A może to on wziął mnie za rękę?

Nie znałaś jeszcze jego teatru?

Nie. Teatr poznałam następnego dnia. Zobaczyłam w Moskwie jego spektakl i pomyślałam, że chciałabym z nim kiedyś zagrać. Ciągle marzę. Może to się kiedyś uda w Warszawie, po polsku? A może w Moskwie, po rosyjsku? Kto wie?

Nie przerażałaby cię wizja duetu z mężem?

Byłabym zachwycona. Zawsze imponowało mi, jak szybko Wania nawiązuje kontakt z widzami. Chciałabym to u niego poobserwować, będąc obok. Poczuć tę energię. Myślę, że na scenie jest silnym partnerem.

Obserwowałem was przy waszej pierwszej wspólnej pracy w Polsce, przy spektaklu „Lipiec” w Teatrze na Woli. Ten monolog bezwzględnego mordercy w twojej interpretacji stawał się koncertem słowa czy też „brudną, oczyszczającą piosenką”, jak pisano. Do dziś wielu widzów i ludzi teatru uważa go za arcydzieło. Jak wspominasz tamtą pracę?

To było bardzo mocne, kształtujące mnie doświadczenie. Właściwie pierwsze spotkanie z tą metodą, tym sposobem pracy. Również pierwszy monodram i jak dotąd ostatni. Skok na głęboką wodę. Nie do końca byłam przygotowana psychicznie. Nie potrafiłam spokojnie wychodzić na scenę. Przeżywałam ogromny lęk. Dosłownie chorowałam na tydzień przed graniem. Byłam poza kontaktem z rzeczywistością.

Jednak wychodziłaś na scenę i porywałaś widownię.

Cieszę się, jeśli tak się czasami działo. Chociaż taki prawdziwy kontakt z widzami nie wydarzał się na każdym spektaklu. Tekst był precyzyjną partyturą, która wywoływała we mnie stan niemal medytacyjno-transowy. Spektakl trwał godzinę 40 minut, był niekończącym się potokiem słów, który miał swoją dramaturgię, rozwijał się, był rozwibrowany. Poza dwiema sytuacjami, kiedy szłam napić się wody i przebrać, nie miałam chwili na zastanowienie, co ewentualnie mogłabym zmienić, na pauzę. Kiedy zaczynałam mówić, musiałam od razu dobrze wskoczyć w tekst, co wymagało ogromnego skupienia, czujności. Kiedy udawało mi się osiągnąć dobry kontakt z publicznością, schodziłam ze sceny napełniona. Nie zdarzyło mi się później w teatrze wejść na taki poziom energii i siły. Pewnie za tym tęsknię. Może kiedyś uda mi się wrócić do monodramu, ale i do tego rodzaju energii, choć już z innym stanem wewnętrznym, jestem lepiej przygotowana.

Dlaczego tak szybko, mimo sukcesu i nagród, postanowiliście przestać grać „Lipiec”?

Z różnych powodów, ale również dlatego, że brakowało w nim światła. Na widzach wrażenie robiły forma, sposób wykonania. Ale często mówili, że tekst jest mroczny. A nie chcieliśmy całkowitego mroku. Coś nam się nie udało. W końcu doszliśmy do wniosku, że może w samej sztuce nie ma wyjścia na jasność. Jednak niedawno, po latach, przeczytałam ten tekst ponownie i myślę, że jest w nim światło. Może teraz umielibyśmy to pokazać. Ciekawie byłoby do „Lipca” wrócić, zrobić to w jeszcze większej przestrzeni, choć graliśmy na dużej scenie, dla dużej widowni, zagrać w tradycyjnym teatrze z lożami... Nie sądzę jednak, by miało się to wydarzyć.

Od którego momentu teatr jest dla ciebie duchowością?

Po raz pierwszy poczułam, że teatr może być korytarzem, który prowadzi do wewnętrznych poszukiwań, pracując z Wanią w Moskwie nad spektaklem po kazachsku według poezji Abaja Kunanbajewa. To było nasze pierwsze zetknięcie z literaturą sufijską, a potem z buddyzmem. Nagle zobaczyłam, że można wypracować innego rodzaju koncentrację i inny kontakt z widzem, niż znałam.

Czym dla ciebie był teatr przed Wyrypajewem?

Przeżywałam zachwyty spektaklami Krystiana Lupy czy rosyjskimi, które do nas przyjeżdżały. Ale sama nie do końca umiałam się odnaleźć w teatrze. Pracowałam z wybitnymi aktorami, a nie wiedziałam, po co wychodzę na scenę. Jednak nie uważam tego czasu za stracony. Wczoraj, pracując nad tekstem, nagle przypomniałam sobie współpracę z Januszem Gajosem w Teatrze Narodowym. Zobaczyłam, jak bardzo nie rozumiałam jego sposobu bycia na scenie. Przypomniałam sobie urywki jego monologów, niespodziewanie ożyły w mojej pamięci. Coś do mnie dotarło.

Czego nie rozumiałaś?

Widziałam, że między nim a widzami wydarza się coś, co nie wydarza się innym aktorom. Widziałam, jak przyciąga uwagę, jak jest energetyczny i prawdziwy na scenie. Ale nie wiedziałam, jak to się dzieje. Myślałam, że to kwestia psychologicznego budowania postaci. A teraz myślę, że to właśnie działo się w sferze aktor – widz, a nie aktor – postać. W szkole teatralnej byłam przekonana, że aktor wychodzi na scenę, by zbudować postać i stworzyć relację z innym aktorem czy raczej postacią. Że to ma być jak najbardziej prawdziwe, ponieważ ważna jest iluzja rzeczywistości. Nie pamiętam ani jednego zdania na temat kontaktu z widzem, że robię to dla niego. Nie spotkałam nikogo, kto by mi pomógł zrozumieć, że moim zadaniem jest organizowanie uwagi widza, skontaktowanie go z pięknem i głębią prezentowanego tekstu. Zrobił to dopiero Wania. Jego teatr w stu procentach zaspokaja moje potrzeby. Widzę przed sobą długą drogę.

Wania od lat mówi o stworzeniu teatru – miejsca spotkań, praktyk, warsztatów. Dopingujesz go?

Pewnie. To jedno z jego największych marzeń. Ma powołanie do uczenia. Marzenie, o którym mówi, zorientowane jest na edukację, pomoc w rozwoju, również naszym. Niestety, nie jesteśmy dobrymi organizatorami. Nie potrafimy napisać podania o grant. Spotkaliśmy jednak na swojej drodze Piotra Dudę, który nam pomaga. Założyliśmy firmę producencką. Nazywa się Weda. Spektakl u Krystyny Jandy współprodukujemy. Jesteśmy wdzięczni za gościnę w jej teatrze, bo jako bezetatowi nie mamy gdzie robić spektakli. W Moskwie jest łatwiej, istnieje więcej niezależnych scen.

Jaką Moskwę poznałaś?

Nie ma jednej Moskwy. Poznałam Moskwę poprzez świat teatralny. Kiedy tam trafiłam, zaczął się rozkwit teatru. Konflikt z Ukrainą i cenzura mogły ten rozwój zatrzymać. Tymczasem teatr porzucił sferę społeczną i polityczną i zwrócił się w stronę duchowego rozwoju człowieka. To stało się żywe w szkołach teatralnych, na scenie narodowego teatru MChAT i w teatrach awangardowych, jak Praktika, którego Wania był dyrektorem. Teatr przyciąga różne środowiska. Przychodzą pisarze, muzycy, filozofowie, psychologowie, politycy, biznesmeni, studenci. Są zainteresowani tym, co się dzieje. Przy okazji chcą ze sobą rozmawiać. Fenomen, którego nie widzę w Warszawie. Oczywiście, ludzie spotykają się tu na premierach, ale tak na co dzień tego nie widzę.

Jaką Rosję pokazał ci Wania?

Poza Moskwą, oczywiście, rodzinne strony – Irkuck, okolice Bajkału. Pewnie nie do końca obiektywnie, bo przez osobistą opowieść. Jeżeli wychowujesz się z jeziorem Bajkał obok, ze stepami, w wielkiej, otwartej przestrzeni, w inny sposób postrzegasz świat. Ale jednak stamtąd uciekł. Chciał realizować swój teatr, a nie mógł. Jak na tamte czasy i tamto miejsce jego działania były zbyt awangardowe. Myślę, że to niespecjalnie się zmieniło. A przecież jak mało który współczesny twórca czerpie z tradycji teatralnej. Czuje się tam coś w powietrzu, co próbuje tłamsić, równać do średniej. Być może czułam to z powodu jego własnej historii. Ale muszę też powiedzieć, że jeżdżąc z filmami po Rosji, odwiedzając Nowosybirsk, Petersburg, Perm, Woroneż, Irkuck i parę innych kilkumilionowych miast, czasem większych od Warszawy, spotykałam wielu młodych otwartych ludzi, którzy mają potrzebę spotkania z kulturą Zachodu, tą estetyką i wolnością. Organizują się, coś tworzą. Będąc w Moskwie, widzę, że młodzi mają odwagę myślenia, jakiej nam często brakuje. My chcemy, aby było nam jak w Berlinie czy Nowym Jorku. A oni są nowocześni i dodają do tego swoją wyjątkowość, swoją wrażliwość. Ale to wciąż niewielki procent w zderzeniu ze 140-milionową Rosją. Wania ma 22-letniego syna. Rozmawiając z nim, myślę o tym, że jest ich tak niewielu i że mają naprawdę niewielki wpływ na budowanie rzeczywistości.

Polityka Polski i Rosji nie prowadzi do zbliżenia naszych kultur.

To mnie bardzo smuci. Wymiana kulturalna naprawdę mogłaby wiele dać. Żałuję, że nie doszedł do skutku rok polskiej kultury w Rosji. Rozumiem, dlaczego tak się stało, ale mam żal, że my, ludzie kultury, nie umieliśmy wznieść się ponad sytuację polityczną. Naszą misją jest łączenie, a nie dzielenie.

Aktorzy rzadko mówią o misji.

Bo to nie jest w dobrym tonie, kojarzy się z czymś pretensjonalnym dzisiaj, kiedy zawód aktora stracił swoją rangę. Mam poczucie, że aktor powinien mieć przynajmniej poczucie odpowiedzialności za to, co robi. Teatr jest ogromnym narzędziem. Może pełnić funkcję edukacyjną.

Wasza córka lubi teatr?

Niedawno w Moskwie była po raz pierwszy na muzycznym, rockowym spektaklu, w którym grał Wania. Tata zyskał w jej oczach jeszcze bardziej. Była zachwycona.

Co w niej widzisz z siebie?

Widzę ją raczej jako niezależną osobę, ze sposobem myślenia, jaki nie jest ani mój, ani Iwana.

Zaskakuje cię?

Codziennie. To takie zdania, które wszyscy rodzice powtarzają, ale to ogromne szczęście, że jest. Nie wyobrażam sobie naszej rodziny bez niej. Wnosi do naszego życia tyle radości, ciepła, dyscyplinuje nas, zmusza do pracy nad sobą. Bardzo się zmieniliśmy dzięki niej.

Dobrze się czuje w Warszawie?

Dobrze, ale tęskni do Moskwy.

Jak w „Trzech siostrach".

Dokładnie. Śmieję się, że mamy w domu Czechowa. W Warszawie mówi, że tęskni do Moskwy, a w Moskwie, że do Warszawy. Ale widzę, że dobrze się czuje w Warszawie. Tu ma dziadków, przedszkole, które bardzo lubi. Mówi po polsku i po rosyjsku, ale język polski jest dla niej tym pierwszym, choć trzy pierwsze lata mieszkała w Moskwie. Oboje z Wanią czujemy, że przede wszystkim jest Polką. Ale Rosjanką też jest. Mówi o sobie, że jest pół Polką, pół Rosjanką. Bardzo się cieszę, że ma możliwość czerpania z dwóch kultur.

Ma już marzenia?

Żeby tort bananowy był codziennie.

A ty jakie miałaś w jej wieku?

Tych wczesnych nie pamiętam. Ale kiedy chodziłam do podstawówki, moim największym marzeniem było zostać Indianką. Czytałam o Winnetou. To motyw obecny w moim życiu. Lubię jeździć do Ameryki Południowej. Tylko, proszę, nie dawaj tytułu: „Jestem Indianką" [śmieje się].

Nie chciałaś być Modrzejewską?

Pewnie, że oglądałam serial z Krystyną Jandą i chciałam.

Jak z tymi ideałami odnajdujesz się w filmie?

Wania pyta mnie przy każdym moim filmie, za co tak lubię film, po co mi on. Lubię atmosferę planu zdjęciowego, zaspokaja potrzeby mojego wewnętrznego dziecka, ale rzeczywiście wśród filmów, jakie zrobiłam, nie ma wielu, które byłyby dla mnie tak mocnym doświadczeniem jak spektakle teatralne. Kilka ich jednak było. Pierwszy to chyba „Kochankowie z Marony" Izabelli Cywińskiej. I pewnie dlatego, że się zdarzyły, ciągle do kina wracam, poszukując tego czegoś. Zaczęłam grać w dzieciństwie, mam przepiękne wspomnienia z „Bożej podszewki".

Rosłaś w tym serialu.

I to jest miłe wspomnienie. Dla mnie, dziecka, był bogatym źródłem doświadczeń. Kiedy myślę o filmach, które miały na mnie wpływ, myślę raczej o procesie niż efekcie. Takim doświadczeniem była teraz rola Skłodowskiej w międzynarodowej produkcji

„Marie Curie” w reżyserii Marie Noëlle.

Skłodowska nie jest postacią zabitą już przez własną legendę?

Że kojarzy się z portretem na banknocie? I że mamy wyobrażenie, jak przez całą dobę siedzi w laboratorium, mieszając kijem wywary? [śmieje się]. Na szczęście zachowało się wiele jej listów, biografia jej męża, którą sama pisała, dziennik, który pisała po jego śmierci, bardzo intymny. Zachowała się korespondencja z jej kochankiem, fizykiem Paulem Langevinem. Dzięki tym materiałom mogłam do niej podejść dosyć blisko.

Jak ją zobaczyłaś?

Jako osobę pełną pasji, żyjącą w przekonaniu o słuszności i jasności własnej drogi. To cenne dzisiaj, kiedy rozdrabniamy się, mamy tysiące ról. Żyła w czasach, w których musiała jako kobieta przecierać szlaki sobie i innym. Została pierwszą wykładowczynią na Sorbonie, jako pierwsza kobieta dostała Nagrodę Nobla, i to dwukrotnie. Do tego była świetną matką, chociaż nietypową. Może nie mistrzynią w okazywaniu uczuć, ale wydaje się, że w stosunku do swoich córek była bardzo uważna. Pozostawały z nią blisko i wyrosły na wspaniałe osoby. Poza tym widzę jej kobiecość. Może była zapięta pod szyję, a w laboratorium zakładała fartuch, ale potrafiła kochać. Jej relacje z mężczyznami przepełniała namiętność. Skłodowska potrafiła walczyć o swoją miłość. Jej małżeństwo z Piotrem to związek dusz. Partnerstwo w pracy i w życiu. Później weszła w romans z Paulem Langevinem, miał czwórkę dzieci. Ścigali ją paparazzi, bo jego żona zaniosła ich listy miłosne do ówczesnych tabloidów i zostały wydrukowane. We Francji ludzie wyzywali ją na ulicy od polskich i żydowskich dziwek, była tą, która rozbiła francuską rodzinę. Miała przed domem tłum paparazzich. Dzisiaj ściga się gwiazdy popkultury, wówczas ścigało się gwiazdy nauki.

Mówisz o niej z pasją. Lubisz ją?

W wielu sferach bardzo mi imponuje. W filmie nie próbowaliśmy jej wybielać. Bardzo chciałam zagrać tę rolę. Pojechałam na casting do Paryża, a potem czekałam na odpowiedź. Jak mało kiedy miałam poczucie, że powinnam zagrać. Zależało mi. Najczęściej, kiedy dostaję propozycję filmową, myślę, że to nie dla mnie. Decyzja została podjęta dwa dni po castingu, ale reżyserka miała źle zapisany numer i nie mogła się do mnie dodzwonić.

Czego oczekujesz po tym filmie?

Nie oczekuję. To, że się zdarzył, że był taką ciekawą przygodą, jest wartością samą w sobie. Z biegiem lat coraz mniej skupiam się na rezultacie, czyli na przykład na premierze, raczej na procesie, na każdej próbie, dniu zdjęciowym. Nie czuję już tak wielkich napięć, kiedy coś nie wychodzi. Przyglądam się, dlaczego nie wychodzi. Jest we mnie dużo spokoju i bardzo dużo radości.

Karolina Gruszka *aktorka. Pracowała w Teatrze Narodowym. Wspólnie z mężem Iwanem Wyrypajewem realizuje jego autorski teatr. Zagrała w filmach Izabelli Cywińskiej, Jana Jakuba Kolskiego, Filipa Bajona, Marka Koterskiego, Davida Lyncha,*